

. . . archipelagi . . .

An hourglass is shown in a vertical orientation. The top bulb is empty, and the bottom bulb is filled with a mound of green sand. A flock of black birds is flying through the narrow neck of the hourglass, moving from the top bulb towards the bottom. The background is a light, textured surface.

Piaskowa
Góra

Joanna Bator







. . . w serii ukazały się . . .

- Lidia Amejko *Żywyoty świętych osiedlowych*
Dawid Bieńkowski *Nic*
Dawid Bieńkowski *Biało-czerwony*
Jacek Dehnel *Lala*
Jacek Dehnel *Rynek w Smyrnie*
Jacek Dehnel *Balzakiana*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*
Manuela Gretkowska *Namiętnik*
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Marek Kochan *Plac zabaw*
Włodzimierz Kowalewski *Excentrycy*
Wojciech Kuczok *Gnój*
Wojciech Kuczok *Widmokrąg*
Wojciech Kuczok *Opowieści przebrane*
Wojciech Kuczok *Senność*
Jarosław Maślanek *Haszyszopenki*
Tomasz Piątek *Pałac Ostrogskich*
Janusz Rudnicki *Mój Wehrmacht*
Janusz Rudnicki *Chodźcie, idziemy*
Sławomir Shuty *Zwał*
Sławomir Shuty *Cukier w normie z ekstrabonusem*
Sławomir Shuty *Ruchy*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*
Mariusz Sieniewicz *Żydówek nie obsługujemy*
Mariusz Sieniewicz *Rebelia*
Marek Soból *Mojry*
Wojciech Stamm *Czarna Matka*
Magdalena Tulli *W czerwieni*
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*
Magdalena Tulli *Tryby*
Magdalena Tulli *Skaza*

. . . a r c h i p e l a g i . . .

Piaskowa
Góra

Joanna Bator

Copyright © by Joanna Bator, 2009
Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2009
Wydanie I
Warszawa 2009

Rodzinie

Wszystkie postaci z *Piaskowej Góry* stanowią wytwór mojej wyobraźni. Ich ewentualne podobieństwo do osób realnie żyjących jest przypadkowe.

Początek

Jadzia toczy się i kula. Dominika jest lekka i krucha. Gdyby Jadzia ją przysiadła, kostki córki chrupnęłyby jak wafelek do lodów. Jednak Dominika nadrabia szybkością, robi uniki. Podskakuje i wygina się jak zając z radzieckiej kreskówki. Każde zbliżenie Dominiki i Jadzi grozi kolizją, niebezpieczeństwo wzrasta proporcjonalnie do odległości, z jakiej na siebie wpadają. Jadzia jest zawsze w tym samym miejscu, to Dominika odlatuje lub nadlatuje lotem koszącym. Ląduje awaryjnie na Piaskowej Górze, aż iskry się sypią, zanim wyhamuje, i już po chwili wzbija się do lotu w obłoku kurzu.

Jadzia wolałaby, żeby za bardzo nie oddalały się od siebie i żeby Dominika tak nie latała. Matki marzeniem jest, by córka osiadła, zaczęła się gdzieś. Nie ciekaj, latawcu, powtarza, chociaż wie, że córka nie lubi, gdy mówi z wiejska. Miastowa taka. Wziąć, mamó, a nie wziąć, poprawia ją mądrała, włączyć, a nie włączyć, sobie, a nie se. Jakby była jakaś różnica. Jadzia żadnej nie widzi, Jadzia woli widzieć to samo.

No siadźże chwilę na dupie, latawcu, podfruwajko, woła i klepie obok siebie w kanapę, siadźże, bo

włączam telewizor. Mości się Jadzia w wygniecionym gnieździe, które kiedyś należało do jej męża, Stefana. Siadał tam po pracy i zasypiał przy dźwiękach dziennika albo niedzielного programu przyrodniczego o życiu egzotycznych zwierząt i owadów. Zobacz, jaki ma łeb gadzina! wołał albo dłużał w nosie i wpstrykiwał do donicy z palmą. W głębi gniazda chował srebrne jajo butelki, z którego nic się nie wykluło. Jadzia dopiero parę lat po śmierci męża przejęła gniazdo w posiadanie. Teraz ogląda telenowełe z miejsca po Stefanie i chciałaby, żeby Dominika z nią. Żeby jak matka z córką. Ona na miejscu matki-wdowy, Dominika na matki dawnym miejscu dla niej zaklepanym. W tym odcinku wyjdzie, że Maria Celesta jest w ciąży z tym czarnym z wąsikiem jak u Leoncia z *Isaury*, co Jadzia zapomniała imienia. Chyba Luis Alfredo.

Jadzia często przekręca fakty i daty, ale ciągle ma marzenia. Stare i używane nieodpowiednio, ale są. Jadzia niczego nie lubi wyrzucać. Lepiej schować, bo nie wiadomo, co i kiedy może się przydać. Stare często jest lepszej jakości niż nowe i masz jak znalazł. Szukajcie, a znajdziecie, mówi Jadzia i wwierca się w pokłady rzeczy zgromadzone w bieliźniarce jak górnik w ścianę wałbrzyskiego węgla. Wszystko ma już zaplanowane: kreację córki i ślub kościelny. W sukni, jakiej ona nie miała. Ona szła w uszytej z ponemieckiej firany, stopy spuchnięte w za małych czółenkach, co to była za męka. Dominika będzie szła jak z gazety kolorowej wycięta, jak córka jakichś pieczarkarzy, doktorów ze Szczawna Zdroju. Suknię będzie miała z salonu Sabrina w rynku albo nawet do Wrocławia się pojedzie. Żeby i gorset, i tren.

Się wszystko na wideo nakręci. Welon matka sama haftuje córce w tajemnicy. Jakoś te dzikie buszmeńskie włosy się nim przykryje, poucina spineczkami, perełkami. Co się napruła, zanim zaczęło wychodzić. A potem dorożką w konie zaprzęzoną na bal do zamku Książ, w sukni, w welonie na wietrze powiewającym. Aż gały wyjdą tym, co nie wierzyli, oniemiają pięknem olśnieni i szczęściem, jakie ich nie czeka. Jeszcze nie jest za późno, a blizny na twarzy córki prawie wcale nie widać, może tylko, jak się złości.

Ale przede wszystkim Dominika nie może do ślubu być taka chuda i lekka, że byle wiatr ją porywa i miota to tu, to tam. Trzeba ją obciążyć, uziemić czymś treściwym. Dominika hoduje na oknie bazylię, a gdy wyjeżdża, w lodówce zostają po niej rzeczy, które Jadzia obwąchuje niepewnie, bada końcem języka. Zjadłabyś bigosiku z ziemniaczkami, schabiku, Tadku niejadku! Jadzia nie ma nic przeciwko zagranicznym mężom, ale uważa, że nasze polskie jedzenie jest najlepsze i nie musi próbować innego, żeby sobie wyrobić zdanie. Ma je od dawna gotowe, jej zdanie nie potrzebuje poprawek, dziękuję bardzo.

Robi córce miejsce obok siebie na wersalce, podsuwa delicje promocyjne. Dwanaście delicji plus dwie gratis to prawdziwa okazja z Reala. Taki duży sklep pod domem to rozrywka i oszczędność, którą Jadzia ceni, bo kupowanie niepotrzebnych rzeczy za pół ceny drogo ją kosztuje. Rozkłada ciastka ładnie na talerzyku, podsuwa córce, cmoka, że pyszności. Już ja cię podtuczę, Tadku niejadku! Córka wie nie od dziś, że Tadka niejadka porwał wiatr. Poleciał uczepiony czerwonego balonika, jak on pięknie

poleciał, ziemia została daleko, niebo na wyciągnięcie ręki, gładkie jak niebieskie szkło. Mała Dominika pluła więc buraczkami, wyrzygiwała paróweczki cielęce wystane na matczynych nogach i czekała, że ją też porwie do Enerefu i jeszcze dalej, na wyspy Bula-Bula, a Piaskowa Góra będzie tylko plamką na horyzoncie, nie większą od muszej kupki. Ale bajka kończyła się inaczej. Bombardowali Tadka kotletami, celowali w niego oszczepami żeberek, aż się naźarł, nabrał masy i spadł. Znormalniał, mówi Jadzia, i zaczął jeść. Pewnie gdzieś osiadł do tego czasu.

Matka chce więc, by córka osiadała, a córka próbuje podważyć z miejsca zasiedziałą matkę i namawia ją na wyjazd za granicę. Na ogół siły są wyrównane, a wtedy tkwią zaparte, jedna nie ruszy bez drugiej. Matka się zapiera, nie i nie, córka kusi, lata wokół, trzepocząc skrzydłami, znienacka bodzie miękkie ciało matki, ruszaj się, Bruno, wyciągnę cię stąd. Dominika przysyła widokówki, które eksplodują kolorami jak małe petardy, i pisze, jak przyjedziesz, to zobaczysz, mamó, to piękne miasto na pocztówce, ale oczywiście większe, bardziej prawdziwe. Są tu ciepłe wieczory i restauracje, w których gra na żywo muzyka, są arbuzy tak wielkie, że w połówce jak w kołysce mieści się dziecko. Schody zbiegają wprost do morza, kawę pijemy z widokiem, a wiosną góry kwitną białą, żółtą, liliową. To wszystko wcale dużo nie kosztuje, jeśli nie będziesz przeliczać na złotówki. Wszyscy będziemy się cieszyć z twojego przyjazdu, cała rodzina, i nie narazi nas to na żadne poważne koszty, a wręcz przeciwnie, bardzo nam się tu przydasz, sama zobaczysz. Jadzia myśli, że ci wszyscy Dominiki,

co niby czekają tam na nią, to przecież istna Sodomia i Godomora. Jeden czarniawy jakiś i mimo wykształcenia w szmatach chodzi, obdarciuch w naszyjnikach, paciorkach, druga babochłop, homoniewiadomo, a wszyscy na kupie, że nie zgadniesz, kto z kim i czyje to dziecko tam się pęta. Dziwactwo i fiksum-dyrdum, a nie normalna rodzina, co to składa się z ojca, matki i dzieci połączonych sakramentem i uczuciem plus babcia do opieki, póki ich śmierć nie rozłączy. Ta rodzina Dominiki, pozał się Boże, żeby chociaż jakoś ukradkiem, w tajemnicy, nie na oczach innych. Ale nie, afiszują się, wystawiają na pośmiewisko, jakby dumni byli z tego fiksum-dyrdum. Co więc, jak ktoś jej, Jadzi, wytknie, ale pani córkę wychowała, co za wstyd, gdy tam pojedzie. Wstyd, nawet jeśli Jadzia i tak nie zrozumie w obcym języku. Stefan, ten to miał łeb do języków i gdyby nie zaprzepaścił, to szprechałby i parlefransił. A ona nawet z rosyjskiego mało co dziś pamięta, tyle co skolka, tawariszcz Stalin i do swidanija. A poza tym, co ona tam będzie jadła, bo na pewno nie oliwki. To jakby zgniłe jeść!

Jadzia Dominice ciemne włosy poprawia, jakby swoje poprawiała. Jeszcze wszystko przed tobą! mówi. Przekreśla Jadzia Dominiki trzydzieści trzy lata. Zdmuchuje jak okruchy ze stołu. Za Dominiką więc nic. Jak zrobi krok w tył, to wpadnie w dziurę. Jadzia mówi jednak, że przecież jakby co, to zawsze może się zaczepić na Piaskowej Górze.

Pod spodem Wałbrzycha jest węgiel, na wierzchu piasek i ludzie nawiani tu ze świata na miejsce wypędzonych. W domach poniemieckich książki w gotyku idą na rozpałkę, Schneider, który wcale nie przypomina krawca na odstrzał, Wasser po przegotowaniu zamienia się w wodę. Przez Adolf Hitler Strasse, która jest już ulicą Włodzimierza Lenina, pcha się wózki, taszczy walizki, ciągnie dzieci, psy i staruszki w kwiecistych chustkach. Pierwsza tura przybywa tuż po wojnie i jeszcze śmierdzi prochem. Hitler kaput! krzyczą niedorostki do ostatnich Niemców albo tych, którzy na Niemców wyglądają. Inni obcy nie budzą jeszcze grozy, bo na razie nikt nie jest swój. Dopiero zaczyna się dzielenie, kto ma złoto, kto nie, kto z Bogiem, a kto przeciw Bogu, który jeden jest i taki powinien pozostać. Przyjezdni rzucają bagaże i raz, dwa, trzy wbijają paliki w ziemię. Tu coś sklecają z desek, tektury i derki, tam wytną kawałek na ziemniaki, na marchewkę, ogrodzą sznurkiem, zaklepią, że ich i niech się nikt nie waży. Uzbrajają się w kije i złe słowa; jakby co, to nogi z dupy normalnie!

Wałbrzyska ziemia odzyskana budzi nadzieje zwłaszcza w tych, którzy swojej nigdy nie mieli. Są znikąd, ale chcą wyjść na swoje, by być skądś. Najpierw zajmują stare domy po Niemcach, ale już wkrótce jest ich za mało – dwadzieścia lat po wojnie wokół starych dzielnic Wałbrzycha, niepozabawionych pewnej urody, a na pewno ordnungu, zaciśnie się betonowy pierścień nowych, budowanych w pośpiechu dla przyjezdnych. Na

Piaskowej Górze zmieści się ich aż trzydzieści tysięcy, bo będą dobrze upchani w podzielonych na jednako-
we przegródki pudłach domów. Wśród przyjezdnych
jest młoda Jadzia Maślak. Ma agrestowe oczy zmęczo-
ne długą podróżą, tekturową walizkę, kosz wiejskich jaj
i płaszczyk o dwóch różnych rękawach. Trudno ją zauwa-
żyć w tłumie, bo wiele kobiet wygląda podobnie.

Wałbrzych to duże miasto, jeśli patrzy się na nie
z miejsca Jadzi Maślak. Na przykład dworzec, na który
przyjechała, nazywa się Dworzec Miasto, a są jeszcze
Główny, Fabryczny i Szczawienko. Ani matka Jadzi, Zofia
Maślak, ani jej babka Jadwiga Strąk świata nie widzia-
ły, tyle co do Skierniewic na targ czy na pielgrzymkę do
Częstochowy, a ta druga już na pewno świata nie zoba-
czy, bo w żółtym piachu pochowana na wieki wieków
amen. O Wałbrzychu nie słyszały, bo Wałbrzycha jeszcze
niedawno w ogóle nie było i nie jeździły do niego żadne
pociągi, a już na pewno nie z Zalesia. Przez Zalesie po-
śpieszne przelatywały z wyciem i hukiem, tak że wioska
nawet nie zdążyła odbić się w szybach i już zniknęła.

Matka Jadzi mówiła, że pociągami diabły wiozą nie-
grzeczne dzieci do piekła. Tudum-tudum! naśladowała
odgłos pociągu; tudum-tudum! pociągi pełne brudnych
dzieci, przez tubę zwiniętej dłoni tudum-tudum. Dia-
bły Zofii śmierdziały spalonym mięsem i miały wywinię-
te wargi, zawsze wilgotne. Wywinięte jak u czarnych
Murzynów, tudum-tudum, straszyla Jadzię i odpływała
w głąb domu na szerokiej łajbie bioder, robiąc fale, na
których jeszcze przez chwilę kołysały się meble i święte
obrazy. Nie umiała zacumować na dłużej przy córce, za-
raz ją zносиło do spiżarki, do ogrodu, do lasu po szyszki

na rozpalkę. Brudasie, kocmołuchu, załamywała ręce, diabły cię do piekła pociągami zabiorą. Przez okno cień pośpiesznego nocą przemykał, a Jadzia wyobrażała sobie dzieci upchane w wagonach jak w puszcze po landrynkach, do której zbierała latem stonkę i zamykała wieko. W ciemności owady zdychały i wysącały ciemny sok, po którego powierzchni pływały pasiaste skrzydełka. Jadzia zaglądała do puszki, a jej obrzydzenie podchodziło spienioną śliną.

Podrośnięta Jadzia codziennie świtem czekała na stacyjce Zalesie na osobowy do Skierniewic, gdzie uczyła się na pielęgniarkę. Lubiła robić zastrzyki, wkłuwać się czysto i umiejętnie w błękitne żyły, nosić biały fartuszek i oglądać bakterie pod mikroskopem. W ich wijącym się, bujnym istnieniu znalazła uzasadnienie dla octu, ulubionego środka higienicznego jej matki, którym przesiąkała jak dobrze przyprawiona galaretka ze świńskich nóżek. Trzeba pozabijać bakterie! Bakterie to brud i choroby, są bardzo niebezpieczne, więc woda z octem musi być bardzo gorąca – to miało sens. Bez odpowiedzi pozostawało pytanie, skąd Zofia mogła wiedzieć o bakteriach, skoro skończyła kilka klas wiejskiej szkoły, ale Jadzia nie zadawała wielu pytań. Czekając na pociąg do Skierniewic, zjadała pierwszą z trzech bułek z dżemem truskawkowym, które brała ze sobą na drugie śniadanie do szpitala, i wdychała oleisty zapach torowiska, tak jakby piła. Oblizywała małe, ładnie wykrojone usta i nie była pewna, czy jej się podoba, czy nie. Wątpiła jako dziecko, Jadzia nabierała ciała jak śnieżna kula i w wieku osiemnastu lat przewidziana na jej rozmiar ilość skóry się wypełniła, szczupłe pozostały tylko łydki i przedramiona. Nigdy nie

przyjmowała pozycji doskonale pionowej, jakby niewidoczna siła przechylała ją w prawo albo jakby uchylała się przed ciosem. Zakładała wielkie bawełniane majtki, które szyła dla niej Zofia, i czesała mysie włosy przed lustrem w sieni, wpinając w nie spinki i przeginając się w tę i w tamtą, by uchwycić swoje znikające odbicie. Widać ją było tylko pod pewnym kątem i przy dziennym świetle. Gdy jednak patrzyło się na Jadzię w pełnym słońcu, kontury miała zatarte i drżące jak rozgrzany piasek. Ci, którzy wymienili się z nią pochwalonym na drodze, nie byli nieraz pewni, czy rzeczywiście spotkali Jadzię Maślak idącą na stację, czy im się tylko wydawało. Nocami Jadzię ogarniał żal za czymś nieokreślonym, który myliła ze znanym głodem na słodczyce, wzdychała, wyciągała spod poduszki bryłkę cukru i ssała ją tak długo, aż usnęła. Posłusznie spełniała polecenia matki, której obsesja czystości ograniczała się do podmywek w gorącej wodzie z octem. W ich domu talerze lepiły się do stołu, nietoperze piszczały nocami na strychu, myszy wiły gniazda w zbutwiałych króliczych skórkach poupychanych w każdej szufladzie, ale Zofia nigdy nie zapomniała o wrzątku i occie. Jadzia co wieczór zaraz po matce przykuciała w metalowej miednicy, do której z trudem mieściły się jej coraz potężniejsze pośladki. Ocet szczypał i czasem było to przyjemne. Po myciu wkładała palce między nogi i wachała, czy przez octową świeżość nie przebijają się smród brudu i bakterii.

Już w koszuli nocnej Jadzia czytała romanse, powoli przewracając strony poślinionym palcem. Była głodna opowieści, cieszyły ją niezwykle szczęścia i nieszczęścia, jakie niestety rzadko zdarzały się w Zalesiu, ale na

szczęście nauczycielka Gorgółowa pożyczała jej książki. Jadzia najbardziej lubiła *Trędowatą*, którą jak zaczarowana czytała raz po raz przy lampie naftowej, ku utrapieniu Zofii. Rano agrestowe oczy Jadzi były zmęczone, przypominały rozmoczony druk. Czasem wyobrażała sobie, że leży na jakiejś pięknej łące, a ordynat Michorowski nakrywa ją sobą jak kołdrą, jak wiekiem trumny z atlasową wyściółką. Nic więcej w tych marzeniach nie robiła; po prostu była, a ordynat podjeżdżał samochodem, karocą pod szpital w Skierniewicach i ją zabierał na łąkę, za granicę. Może do pięknego Związku Radzieckiego, o którym uczyła się w szkole. Tam gdzie rządził towarzysz Stalin, co usta słodsze miał od malin, a rzeki o dziwnych nazwach są wielkie, rwące. I wszystkie tylko patrzyły we śnie, że ordynat ją wybrał, Jadzię. Gabrysia, co oczy maluje na niebiesko, Teresa, co nosi buty na obcasie stukającym, że z nią, nie z żadną inną ordynat cudzoziemski odjeżdża, a welon na jej głowie, nie innej powiewa. Och, ordynacie, jestem twoja! Zabierz mnie w siną dal, marzyła Jadzia.

Najbardziej romantycznym wydarzeniem w dziewczym życiu Jadzi była wizyta nieznanego cudzoziemca, który pewnego lata pojawił się w Zalesiu. Młody mężczyzna podjechał samochodem, wzniesając obłok popiołu, którym zasypywano dziury w wiejskiej drodze. Uchylił kapelusza, witam panie, czy można, zawołał zza furtki, czy można poprosić szklankę wody? Bez zapowiedzi, nagle przy furcie, gdy akurat przy stole pod orzechem, ubrane niedbale, drylowały wiśnie na konfitury! Pestki wystrzeliwały do miski, chlapiąc matkę i córkę, ach, gdyby chociaż zdążyły się ogarnąć, przeczesać, gdy on,

cudzoziemiec, tak nagle o szklanę wody prosi. Ubrany był, opowiadała Dominice Jadzia, jak z żurnala, jak z gazety kolorowej wycięty, bo żeby tak w dzień powszedni, do nich, w kapeluszu, o szklanę wody prosić, podczas gdy one miały tylko kubki? Cudzoziemiec mówił, jakby pod językiem utkwiała mu jedna z wiśniowych pestek, i nie mogły zrozumieć niektórych słów, ale zachowywał się z szacunkiem i grzecznie. Napił się wody, zjadł dwie garście wiśni, posypując je cukrem, i wytarł ręce białą chusteczką wyjętą z kieszeni marynarki. Mój Boże, żeby tak w białą chusteczkę mężczyzna ręce w dzień powszedni? Mimo że był bardzo młody, Jadzi od początku wydawał się starszy, a w miarę upływu czasu przybędzie mu lat w jej opowieści. O, na pewno był starszy od niej, bo tak w marynarce, w kapeluszu? Poza tym mężczyzna powinien być starszy. Wypytywał o georginie, jak takie wielkie różowe wyhodować, i zaraz zniecka o dom, i czy strych duży, o jabłonie, czy rodzą, czy szczepione, i o wojnę, a wszystko tak sprytnie, że na koniec za nic nie mogły sobie przypomnieć, jak doszło do takich pytań i jak to możliwe, że ktoś obcy, kto nawet się nie przedstawił, zadawał je w ich ogrodzie, jedząc wiśnie przy ich stole. Zofia patrzyła w twarz cudzoziemca tak, jakby zagłębiała do studni, do której wpadło jej coś cennego, ale zamiast złotego migotania widziała gładką powierzchnię wody i własne zniekształcone odbicie. Odwracała oczy rozczarowana i wrzucała wiśnie do dryłownicy. Niech mama przestanie na chwilę z tym dryłowaniem! Jeszcze mu koszulę jak śnieg białą, twarz cudzoziemską opryska wiśniowym sokiem. Ale można jej mówić. Prysk, prysk – co komu pisane, temu kamień – czy musiała Zofia

koniecznie przy obcym eleganckim człowieku rzucić jedno z powiedzonek babki Jadwigi, i to zupełnie nie na temat, co on sobie o nich pomyśli, martwiła się Jadzia. Że wsiowe wariatki jakieś, pomyśli, odwróci się, wyjedzie, nie wróci! Mój ojciec to bohater wojenny. Poległ z honorem, kwiatami jabłoni obsypany, odpowiedziała na kolejne pytanie gościa, ubiegając matkę, która nachmurzyła się jeszcze bardziej i nie odezwała już do końca wizyty.

Przy pożegnaniu padły słowa, które dały początek romantycznej historii Jadzinej, gdzie dzwony dzwonią na wesele, a welon kryje twarz panny młodej. Gdzie pan młody jest wart wiele, jak wygrana w Wielkiej Grze, i stoi obok jeszcze nieodpakowany, tak że nie widać, co ma w środku, i można sobie marzyć a marzyć. Wróć tu kiedyś może, powiedział cudzoziemiec, patrząc Jadzi w oczy, kiedyś tu może wróć na wiśnie. Powiedział tak mądrze i znacząco (tylko co to znaczyło?), jak mógłby powiedzieć ordynat z *Trędownatej*, nie ktoś zwykły, codzienny. Taki Wiesiek Dorosz czy Czesiek Kociuba najwyżej umieli spytać, a przyjdiesz, Jadzia, na zabawę do Sosenki potańczyć, patrząc jej przy tym w cycki, nie w oczy. Żadnego romantyzmu! Jadzia oganiała się od rąk i ust Wieśka i Cześka, których do końca nie rozróżniała, i marzyła o cudzoziemcu, o dziedzicu, ordynacie i sonej dali, w którą dałaby się zabrać jak przesyłka bez zwrotnego adresu.

W Zalesiu nie było już jednak dziedziców, a dwór przerobiono na szkołę, ośrodek zdrowia i sklep przemysłowo-spożywczy, wyniósłszy z niego przedtem wszystko, co nie zostało wyniesione przez niemieckich okupantów, którzy odeszli, i radzieckich okupantów, którzy

udawali wyzwolicieli. Pozbawiona porównania Jadzia nuciła, fałszując, że biedna Rebeka w zapomnieniu czeka, aż przyjedziesz po nią ty, ale nie było żadnego ciągu dalszego, żadnych więcej wiśni wyjadanych z delikatnej męskiej dłoni, tylko to i tylko tyle, niespełniona obietnica, tańczące w zachodzącym słońcu muszki, odjeżdżający samochód. Po praktyce w skierniewickim szpitalu Jadzia dostała pracę w nowej przychodni w Zalesiu, a ordynat Michorowski zaczynał przybierać postać pracującego tam doktora Macieja Malczyka. Też na M! Na ten znak zamierało serce Jadzi. Za pierwsze oszczędności dała do uszycia płaszczyk w pepitkę z króliczym kołnierzem z matczynej skrzyni, który wydawał się najmniej nadgryziony przez myszy i mole. Na targu w Skierniewicach kupiła od rudej Cyganki radzieckie perfumy Czerwony Mak, w sklepie państwowym torebkę i kozaczki pod kolor. Była gotowa do spełnienia marzeń przykrojonych na swoją miarę. Przed niedzielną mszą obejrzała się w starym lustrze w sieni, gdzie zobaczyła odbicie topielicy. Kobieta zupełnie niepodobna do niej, o oczach ciemnych, włosach buszmeńskich, twarzy białej jak kość chlusnęła w twarz Jadzi zimną wodą i znikła zbyt szybko, by w nią uwierzyć.

Poszła Jadzia do kościoła oblodzoną drogą przez wieś, ostrożnie stawiając nogi w nowych butach; potknęła się przy chałupie Gorgóli. Zamłynkowała ramionami, krzyknęła ojej, wypuściła torebkę, która poszybowała dwa metry dalej i pękła jak arbuz, ukazując lśniące czerwone wnętrza. Jadzia nie odzyskała równowagi, upadła i złamała prawą rękę w trzech miejscach.